

Premiera na Scenie Pod Ratuszem
Teatru Ludowego w Krakowie

KULTURA

Biały piesek

Bardzo roztropnie twórcy spektaklu „Mój boski rozwód” nie wpuścili na scenę prawdziwego pieska. Roztropnie, bowiem wiadomo – z żywym zwierzęciem tylko same kłopoty.

A to rozlegnie się protest jakiegoś Towarzystwa Opieki Nad Żywym Zwierzęciem, a to ktoś w trakcie spektaklu zażąda od żywego zwierzęcia aktualnych szczepień, a to niesforny czworonóg zrobi, nie daj Bóg!, na deski coś be. No i wreszcie wisząca jak topór, odwieczna teatralna prawda, że dzieci i zwierzęta na scenie załatwią każdego aktora – tu nie znajdzie potwierdzenia. Bo miast żywego pieska jest biała zabawka, która, choć łapy nie poda i nie zasika dywanu, to przytulic się pozwoli i bez mrugnienia szklanym okiem wysłucha zwierzeń swojej pani.

A jest czego, bowiem Angela (Krystyna Podleska) właśnie znalazła się na zakręcie swojego 50-letniego żywota, porzucona przez męża dla młodszej i pewnie ponętniejszej Meksykanki. Biały piesek nie zaskomli więc, gdy pani przez parę lat będzie walczyć o utraconego mężczyznę. Nie merdnie ogonkiem, gdy będzie szukać pocieszenia w rozmaitych telefonach zaufania. Nie warknie na wyrodną, kiedy ta będzie się umawiać na randkę z nieznanym z gazetowego kącika dla samotnych. Nie będzie się też lasił, by pocieszyć swoją panią po nieudanym seksie z poleconym przez przyjaciółkę właścicielem wielgachnego przyrodzenia.

Inaczej rzecz ma się z publicznością, która raz po raz wybucha gromkim śmiechem. Bo Krystyna Podleska i reżyserujący ją Jerzy Gruza zrobili wiele, by monodram Geraldine Aron uczynić przede wszystkim śmiesznym. W scenografii Wojciecha Stefaniuka, odwzorowującej realistyczną przestrzeń domu Angeli, Krystyna Podleska gra kabaret o rozstaniu. I, trzeba przyznać, robi to bardzo skutecznie. Repertuarem min, póż, parodii i zabawnych cytatów z osób, które trzeba w danym momencie



Krystyna Podleska

FOT. ARCHIWUM TEATRU

odmalować, mogłaby „obskoczyć” niejedną farsę. Czuć, że wszędzie tam, gdzie aktorka trafia w swój temperament, pływa jak ryba w wodzie. Kiedy jednak przychodzi chwila refleksji i przydałoby się zanurkować trochę głę-

biej, tam nie tylko biały piesek tkwi w obojętnym bezruchu. Bo żywe białe pieski lubią od czasu do czasu, w przerwie między czekoladką a landrynką, pogryźć mięsistą kostkę.

MAGDA HUZARSKA

Sztuka o samotności kobiet

Rozliczenie z błędami

■ Skąd pomysł na sztukę?

– Patrzyłam na samotność kobiet, które nie widzą sensu dalszej egzystencji. Chciałam napisać na ten temat książkę w formie dziennika, ale wydawca nie chciał jej wydać, bo przypominała „Dziennik Bridget Jones”, więc zdecydowałam się zrobić z tego monodram. Ta sztuka, mimo że nie jest o mnie, to próba rozliczenia się z błędami, jakie w przeszłości popełniałam.

■ Do kogo adresowany jest monodram?

– Nie myślałam nad tym, pisząc sztukę. Tytuł jest rozwodników w Wielkiej Brytanii, że odbiorcami są wszyscy. Chciałam zwrócić uwagę na samotne, rozwiedzione kobiety, które nie są do końca akceptowane w społeczeństwie.

■ Czy widzi Pani różnicę między

dzia sytuacja rozwiedzionych Polek i Angielek?

– Nie. Wszędzie jest tak samo. Niezależnie od kraju i miejsca, czy są piękne, czy brzydkie, muszą sobie na nowo znaleźć miejsce w społeczeństwie i nowej sytuacji.

■ Jakie reakcje na sztukę Pani zaobserwowała?

– Nie spodziewałam się, że będzie przychodziło na nią tak dużo ludzi, również mężczyzn, którzy świetnie reagowali. Jestem zaskoczona, bo dostaję mnóstwo listów od widzów, którzy dzielą się ze mną swoimi emocjami.

ROZMAWIAMY Z GERALDINE ARON,
AUTORKĄ SZTUKI
„MÓJ BOSKI ROZWÓD”



FOT. JACEK KOZIOL

■ Jakie jest przesłanie monodramu?

– „Bo to jest najgorsza rzecz, kiedy człowiek jest samotny” – napisałam to, by przypomnieć kobietom i nie tylko, że gdy wchodzi się w związek nie można rezygnować z przyjaciół. Zawsze trzeba pamiętać o własnym życiu.

■ Zakończenie sztuki jest nieco cukierkowe...

– Miałam sporo wątpliwości co do zakończenia, ale stwierdziłam, że ludzie muszą być razem. Ja osobiście, jeśli bym wiedziała, że nigdy już nie spotkam kogoś, kto mnie pokocha, to wolałabym umrzeć.

■ Nad czym teraz Pani pracuje?

– Tytuł roboczy mojej nowej sztuki to „Namaste”, czyli nepalskie przywitanie. Będzie to komedia, jej akcja rozgrywa się w Nepalu, a postacie to sześć Brytyjczyków i słoń. Do pisania tej komedii zainspirowała mnie podróż do Nepalu. Chciałabym w niej podkreślić różnicę kultur.

ROZMAWIĘŁA
KATARZYNA WIECZORKIEWICZ

GERALDINE ARON

Irlandzka dramatopisarka. Pisze od 1975 roku, mieszka w Londynie, w pięknej edwardiańskiej kamienicy w dzielnicy Hampstead, ma dwie córki bliźniaczki, kocha podróżować i irlandzką telewizję.

Paweł Głowacki

Zdania bardzo machane

Odkąd pamiętam, regularnie kompromituje mnie pewien żalony tik nerwowy, na chama i bezkarnie wiążący świat gestów ze światem słów. Dawniej, gdy byłem zbyt smarkaty na zegarek, albo dziś, gdy zegarek w naprawie, obojętne - zawsze ta sama głupota mnie dopada, jak o czas pytam. Gdy na górze buźka ma w maskę przymilności się organizuje, a z gardła wyskakuje pierwsza litera ciepłego szeptu: Przepraszam, któraż to godzinka? - na dole łapy moje błyskawicznie suną w górę i ostro hamują przy sercu, po czym wskazujący lewej dłoni wręcz litera po literze puka rytmicznie w nadgarstek lewy.

Niebывały wstyd! Na dokładkę - z reguły w miejscu publicznym! Wstyd, bo niezbitnie wychodzi, że jeśli tik mój w czyn oto wprowadzam - to musiałem założyć, iż człek przede mną zagadnięty jest kretynem studziennym, który nie pojmie, jak mu „cepa mi” nie wyjaśnię tego, co gadam! Co drugi raz finał tiku jest więc jednak i słuszny - zagadnięty obywatel ostro mnie opieprza za pusty, kompletnie zbędny i napaśliwy barok ruchowy kończyn

gomych. Opieprzają, ale to żadna kara, niestety. Za godzinę podejmuję wstydlawy proceder...

Tak, od lat kompromituje mnie tik nachalnie wiążący słowo z gestem, więc pewnikiem dlatego na premierze wyreżyserowanego przez Jerzego Gruzę monodramu Geraldine Aron „Mój boski rozwód”, ściślej - przez pierwszy kwadrans, czułem się świetnie. Patrzyłem na samotną aktorkę Krystynę Podleską i było tak, jakbym siebie widział, siebie, gdy kogoś o godzinę pytam. Okazuje się, że Podleska też macha, gdy gada! Co, nawiasem mówiąc, pięknie tłumaczy, dlaczego od początku do końca jest sama. Otóż, na scenie tkwi jak palec, bo nikt nie lubi, jak mu czyjeś kończyny przed nosem pląsają. Monodram jako owoc nadmiaru „cepa” - to jest mocna rzecz!

Wszystko to cieszy, nawet bardzo, ale jednak nie mogę nie

zauważyć różnicy. Przepaść między mną a Podleską w tym, że o ile ja - gdy o czas pytam - miałem powietrze kończynami wyłącznie górnymi, o tyle Podleska - gdy żale bohaterki Aron nam komunikuje - macha wszystkim, czym się da. Rucho- wy barok Podleskiej to barok totalny, barok rąk, nóg, twarzy, warg, szyi, włosów, powiek, stóp, pleców, czoła, brzucha oraz ucha. Barok baroków! Barok monstrialny, wszędobylski, ciągły niczym ciągły ogień z kłasnikiowa, morderczy i nie do zabicia. Barok babiloński!

Podleska gra niewiastę, którą mąż porzucił dla młodszej. Na dokładkę - córka też odeszła, bo dorosła jest, odeszła bodaj z muzykiem. I nasza bidulka w solidnie rozwiniętym kwiecie wieku stoi teraz w swym opuszczonym domu i docieka, jak doszło do samotności. Oraz jak to się szczęśliwie

stało, że po wieloletnich, uczuciowo ciemnych przejściach swych - przy wspomoczeniu pewnego, od lat z rodziną zaprzyjaźnionego medyka, wreszcie znalazła w życiu szczęście, co się zowie! Ale do tego dojdzie w finale. Póki co, baje o przeszłości. Słuchamy jej my, widzowie, oraz jedyna istota, która gadającej nie opuściła. Wierny, milczący, biały pies...

Jako się rzekło - godzina baroku babilońskiego. Nieustający pląs słowa z ruchem. Spiżowe pokazywactwo. Podleska isticie pajęczą siecią nieustających tików ciała oblepia wszystko, o czym mówi. Wszystko, oprócz frazy: „kiedy mu robiłam loda”. Dlaczego wszystko - tak, a akurat loda - nie? Zostawiam to, nie moja sprawa. Tym zaniechaniem reżyser Gruza winien się zająć, nie ja. Grunt, że przez godzinę z niezłym hakiem na scenie jest ściślej tak, jak powiedziałem.

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Co na języku Podleskiej - to w tej samej sekundzie w geście dłoni Podleskiej. Bohaterka o wstrętnym, niewiernym mężu swym mawia jak o Indianinie jakimś: Okrągła Głowa. I wtedy Podleska dłońmi czyni w powietrzu gest taki, jakby strusie jajo głaskała. Gdy bohaterka gada, że jej zimno - to co wtedy czyni Podleska? No, zgadnijcie? Dobrze, powiem, bo w życiu na to nie wpadniecie. Otóż, gdy mowa o zimnie - Podleska trzęsie się niczym przysłowiowa osika! Szkoda dalej wymieniać. Co na wargach - to w żyłe tańczącej na szyi. Co w zdaniu - to w kicianiu. Co w słowie - to w dyndającej nóżki, która się chyba do jakiegoś szalonego oberka szykuje.

Słowem, recytatorsko-gimnastyczne masło maślane. A efekt taki, że miast wstrząsającego monodramu o duchowych cierpieniach porzuconej niewiasty - za jednym zamachem mamy

wstrząsy dwa. Jak w boksie - ogłuszyć widza lewym prostym recytacji i dobić prawym sierpem ćwiczeń wszechstronnie korekcyjnych. Zamiast byśmy nieszczęsnym banafy Aron z godnością przyjęli, rzekłbym, w mono, zmusza się nas, byśmy je z godnością przyjęli - podane w stereo. Niestety, dzieło Aron jest niemożliwe nawet dla głuchego i niewidomego. Co zatem pozostaje? Współczucie.

Współczuję więc. Białemu psu. Bo wprawdzie jest tylko włochatą przytulanką, ale i tak widać, że z każdym słowo-gestem Podleskiej czuje się solidnie nieżywy. Okrągłej Głowie. Bo nawet minutkę wytrzymać z niewiastą, co bez ustanku gda- cze w drugiej potędze - to tragedia dantejska. No i samej Podleskiej współczuję. Ale i nie dziwię się, że macha jak najęta. Gdy się ma do przekazania ludziom literacką „perłę” Aron - dobrze jest dać sobie szansę i spróbować zamachać się na śmierć.

Teatr Ludowy, Scena Pod Ratuszem. Geraldine Aron „Mój boski rozwód”. Reżyseria Jerzy Gruza. Scenografia i kostiumy Wojciech Stefaniak.

Krystyna Podleska | *O nich się mówi*

9

Wawrzonek,
Hemar i Miś

— Bardzo dobrze wspominam pracę na planie „Misia”. Rola początkującej aktorki Aleksandry Kozel przyniosła mi sporą popularność. Szaszek Tym, któremu partnerowałam w filmie, dużo czerpał z obserwacji. Odczułam to na własnym przykładzie. Aleksandrę wyposażył w kilka moich cech, przede wszystkim — rozfargnienie. Zauważył np., że szukając jakiegoś drobiazgu w torebce, wysypuję całą jej zawartość. Wydawało się, że stara miłość nie rdzewieje, a jednak nie pojawiłam się w najnowszej produkcji Szaszka, czyli „Rysiu”. Szkoda.

Krystyna Podleska (Christine Paul-Podlasky) urodziła się w Londynie. Jako dziewczynka chciała być tancerką. Rodzice posłali ją więc do szkoły baletowej Royal Ballet White Lodge. Niestety, szybko została z niej wyrzucona, kiedy profesorowie zobaczyli, że podczas przerw lubi chodzić po drzewach. Postanowiła więc zostać aktorką. To przyszło jej z łatwością. Po Academy of Dramatic Art w Londynie posypały się propozycje. Nie wszystkie jednak odpowiadały zainteresowanej. Marzyła o Lady Mackbeth, a grała głównie dzieci w sztukach Schaffera czy Ibsena. Potem chętnie obsadzano ją w rolach komediowych. Zaczęła współpracę z BBC. Wtedy jej ukochaną postacią była Angele — ulubiona modelka Renoira w filmie telewizyjnym „Renoir My Father” według książki Jeana Renoira. Choć urodziła się w Londynie, od dzieciństwa miała kontakt z polską kulturą i językiem.

— Nawet dla Anglików byliśmy rodziną Podleskich — podkreśla. Pseudonim Paul przyjęła, stając się aktorką. Ważny etap w jej aktorskim życiu zajmuje Polski Teatr Dramatyczny, gdzie grała z legendami polskiej sceny emigracyjnej.

— Bardzo mi zależało na tym teatrze, bo dla dzieci polskich urodzonych, tak jak ja, w Wielkiej Brytanii była to najlepsza forma styczności z językiem polskim. Miałam także zaszczyt grać w Ognisku Polskim, gdzie wy-

stępowały legendy przedwojennej sceny, m.in. Tońko z Wesołej Lwowskiej Fali, Ludwik Lawiński, Zosia Terne, Włada Majewska, Renata Bogdańska, była też generałowa Irena Anders. Grałam również w kabarecie Ref-Rena (Feliksa Konarskiego). Ale moja największa dumą to rola nieznośnego Wawrzonka w „Pięknej Lucyndzie”, bo napisał ją specjalnie dla mnie Marian Hemar. Premiery spektakl sam zresztą wyreżyserował.

W Polsce, nim pojawiła się w „Misiu”, zagrała w filmach Krzysztofa Zanussiego „Barwy ochronne” i „Kontrakt”. Krystyna Podleska z ogromną czułością wspomina rodziców. To oni darzyli ją miłością i pozwalali na niejedno szaleństwo. Jako nastolatka została hipiską. Rola bezpruderyjnej stypendystki Nelly w rozliczeniowych „Barwach ochronnych” w sierpniowym PRL była zapowiedzią obyczajowych zmian.

Podczas pierwszej wizyty w Polsce, jako dziesięciolatka, poznała Stanisława Dygata — przyjaciela ojca z młodości. To właśnie Dygat polecił ją Stanisławowi Lenartowiczowi, który szukał dwujęzycznej aktorki do filmu „Za rok, za dzień, za chwilę”. Zagrała skrzypaczkę, która przyjeżdża na konkurs im. Wieniawskiego i zakochuje się w Polaku. Musiał to być bardzo przekonujący scenariusz, bo — jak przyznała — zaczęła go powielać w prywatnym życiu. Zakochiwała się tylko w Polakach.



ARCHIWUM KRYSZYNY PODLESKIEJ

4 Kilkunastoletnia Krystyna Podleska wraz z Marianem Hemarem

Jej pierwszym mężem był szermierz, mistrz olimpijski z Tokio Janusz Różycki, następnym — światowej sławy dyrygent Jacek Kasprzyk. Obecny, Janusz Szydłowski, jest aktorem i reżyserem w Teatrze Ludowym w Krakowie. To właśnie w tym teatrze odbyła się polska premiera sztuki Geraldine Aron „Mój boski rozwód”. Utwór grany jest z powodzeniem przez wybitne aktorki niemal na całym świecie. Opowiada wzruszającą, ale i pełną optymizmu historię kobiety po przejściach. Mąż porzucił ją dla pięknej Meksykanki, córka wyprowadziła się do narzeczonego, a matka — zimna i krytyczna — nieskora jest do współczucia. Do wypełnienia pustki Angela ma tylko psa i telefon.

Ten spektakl Krystyny Podleskiej zapraszany jest chętnie do wielu teatrów w Polsce, a publiczność przyjmuje Aleksandrę z „Misia” z wielką serdecznością.

Jan Bończa-Szabłowski

W tym tygodniu „Miś” w TVP Polonia (sobota, godz. 20.10)



4 W sztuce Geraldine Aron „Mój boski rozwód” 2006



4 Jako Aleksandra Kozel w „Misiu” 1981

Wręcz zazdroszczę bohaterce

Rozmowa z GERALDINE ARON, autorką monodramu „Mój boski rozwód”

Od końca czerwca na Scenie Pod Ratuszem Teatru Ludowego w Krakowie można zobaczyć monodram Geraldine Aron „Mój boski rozwód” z Krystyną Podleską w roli głównej. Spektakle odbywają się sobotę i niedzielę o godz. 19.

Przedstawienie opowiada historię kobiety w średnim wieku po nieszczęśliwych przejściach, która zostaje w domu sama, tylko z psem i telefonem.

Z okazji polskiej premiery sztuki do Krakowa przyjechała autorka „Mojego boskiego rozwodu” Geraldine Aron; poprosiliśmy ją o rozmowę.

- Z zainteresowaniem czytałem scenariusz Pani monodramu. Muszę przyznać, że to bardzo feministyczny tekst.

- Nie sędzę. Przede wszystkim feministkom zakończenie się by nie spodobało. Bohaterka bowiem, choć heroicznie uwalnia się na początku monodramu spod władzy męża, na końcu wciąż pragnie mężczyzny, chce być od niego zależna. Uważam zresztą, że takie jest życie. By jej nie było smutno, nie pozostawiam jej bez widoków na miłość. Daję szansę zakochać się jej jeszcze raz.

- No faktycznie, tak jak w życiu...

- Oczywiście. Jak w życiu. Zresztą przyznam, że z pewnością nie napisała-bym takiego monodramu o rozwodzie, gdybym sama go nie przeżyła. Muszę jednak zastrzec, że ta sztuka to fikcja. Czyli w gruncie rzeczy nie ma wiele wspólnego z moim konkretnym przypadkiem. Sama wręcz zazdroszczę bohaterce tej optymistycznej końcówki.

- Jako żywo ręczę, że niepotrzebnie się Pani martwi.

- Dziękuję za miłe słowa. Problem jednak polega na tym, że w teatrze można manipulować postacią i z łatwością przychodzi autorowi powiedzieć: „Miej na



Krystyna Podleska w monodramie „Mój boski rozwód”
Fot. Agnieszka Olczak

dzieję”. Mając na przykład bardzo nieatrakcyjnego przyjaciela, którego jednak bardzo lubię - mogę z niego uczynić bohatera i przystojniaka nad przystojniaki. Takie są uroki fikcji.

- W Pani fikcyjnym monodramie bohaterce stosunkowo łatwo przychodzi zakończenie związku. W życiu bywa trudniej...

- Ona wcale taka zdecydowana w tym swoim rozstaniu nie jest. Na początku

bardzo się waha, jest szalenie niepewna. To znów bardzo życiowa postawa, bo generalnie ludzie rzadko są w 100 procentach pewni, że w danym momencie nastąpi koniec związku. Relacje oczywiście się osłabiają, namiętność wieǳnie, jak na dłoni widać, że to już nie jest ta miłość, co kiedyś. Podjęcie decyzji odejścia, szczególnie po wielu długich latach spędzonych razem, przychodzi więc naprawdę z ogromnym trudem.

- To rzeczywiście smutne. Chociaż muszę też od siebie dodać, że ja nic złego nie widzę w przywiązaniu.

- Ja generalnie też nie, chociaż jest taki rodzaj przywiązania, który nie wynika z wolnych wyborów człowieka. Kobiety tu mają gorzej, są bowiem o wiele częściej od mężczyzn uzależnione. Przy tym częściej bywają samotne. Mają mnóstwo czasu na różne przemyślenia. Dostrzegają, że przywiązania też można się oduczyć. Dlatego są tak wobec tego przywiązania krytyczne. Mężczyźni - a mam na to wiele przykładów - przechodzą z jednego skrzydła pod drugie: najpierw mama, potem dziewczyna, żona, czasami druga żona... Rzadziej czują się samotni i, niestety, rzadziej myślą o przywiązaniu.

- No, no. Proszę uważać z tymi generalizacjami.

- Powtarzam: mam na to wiele przykładów. Co nie znaczy oczywiście, że wszyscy są tacy. Generalizować czasem trzeba, by się orientować w rzeczywistości. Moja bohaterka mówi na przykład, że w pewnym wieku należy się pozbyć marzeń. Kobieta bowiem, szczególnie kobieta po czterdziestce, przestaje być atrakcyjna. Taka po prostu jest biologia i choćbyśmy wmawiali sobie, że jest inaczej - tego nie zmienimy. Kobieta po czterdziestce wypada więc z obiegu zainteresowania mężczyzn. Jej szanse na rynku matrymonialnym się zmniejszają. Także i o tym jest moja sztuka.

Rozmawiał: MARCIN WILK

Krystyna Podleska rozwodzi się już dziesięć lat. Z dużym sukcesem

SŁYNNNA KRYSIA Z KULTOWEGO FILMU „MIŚ” nie pamięta, ile już razy zagrała „Mój boski rozwód”. Pamięta za to dobrze, że wiele pań przychodzi i dziękuje jej po spektaklu. Bo choć każde rozstanie to bolesna sprawa, historia, którą opowiada aktorka, ma pomóc kobietom nabrać dystansu i iść do przodu.

ROZMAWIA *Wacław Krupiński* | ZDJĘCIA *Piotr Warczak*



Krystyna Podleska (ur. w 1948 r. w Londynie) – aktorka filmowa, teatralna i telewizyjna. Uczęszczała do szkoły baletowej Royal Ballet „White Lodge”. Absolwentka Webber Douglas Academy of Dramatic Art w Londynie. W latach 1967–92 występowała w Teatrze POSK, współpracowała też ze scenami angielskimi. Wystąpiła w filmach Jerzego Skolimowskiego, Stanisława Lenartowicza, Krzysztofa Zanussiiego („Barwy ochronne”, „Kontrakt”), Stanisława Barei („Miś”). Także m.in. w serialu „Ranczo”. „Mój boski rozwód” miał premierę w Teatrze Ludowym 26 czerwca 2005. Tłumaczka, wraz z Anną Wotek wielu granych sztuk: „Bez seksu, proszę”, „Pan inspektor przyszedł”. To tylko miłość”, także musicalu „Mały lord”.

Z monodramem „Mój boski rozwód” aktorka wędruje po całej Polsce

– Od 10 lat prezentujesz „Mój boski rozwód”, który współtłumaczyłaś. Przymiotnik prowokujący, bo rozwód nigdy nie jest przyjemny.

– Świadomie użyłyśmy z Anną Wotek takiego słowa, bo choć sztuka mówi o rozwodzie i chwilami jest smutna, to przecież jest komedią i dobrze się kończy. To opowieść mająca nieść pozytywne przesłanie; prezentująca takie angielskie podejście, by nie tragizować, a nabrać dystansu. Żyjąc pół wieku w Anglii, często to obserwowałam. Sama także staram się nie marnować życia na stresy i frustracje. Nabrałam dużego dystansu do siebie i wiem, że tak żyje się o wiele łatwiej. Wiem też, że jak człowiek ma w sobie optymizm, jakieś światło, to i zobaczy światło na końcu tunelu.

– Pewnie jednak niełatwo kobiecie o dystans, gdy mąż nagle oświadcza, że odchodzi do młodszej.

– Zwłaszcza że szybko zapomina o zapewnieniach, że będzie żonę wspierał finansowo, a staje się nieprzyjemny, wręcz okrutny. I moja bohaterka, przeżywając chwile załamania, dzwoni wtedy do telefonów zaufania, acz ich rady są wręcz głupie i śmieszne. Z czasem jednak umie dostrzec i zabawną stronę jej rozmaitych porażek. I to jest główne przesłanie sztuki.

– Odszedł, czyli nie zasługiwał, żeby być ze mną?

– Ona przecież coraz bardziej widzi jego wady i niedoskonałości, włącznie z kształtem głowy. Wyśmiewa się także z kolejnych jego zdołbyczy, bo okazuje się, że tę, do której odszedł, też zdradza.

– Ile razy zagrałaś ten monodram?

– Nie liczę. Setki – na pewno. Nie tylko w Polsce, bo nieraz gram i po angielsku. Uwielbiam ten spektakl.

– Przychodzą po nim kobiety, zwierzają się?

– Na ogół są bardzo miłe, mówiąc, że spektakl im pomógł.

– Reżyserował go Jerzy Gruza. Niegdyś wyznałaś: „Mamy podobne poczucie humoru, wrażliwość i świetnie się rozumiemy. No i on również trochę wie o rozwodach”.

– Mieliliśmy bujne życie. Nie tylko matrymonialne. Nie każdy związek kończy się ślubem. Ale faktem jest, że Jurek do dziś lubi kobiety, a i ja nie kryję, że podobają mi się mężczyźni. Ja też im się podobałam.

– Ty w Anglii dwa razy się rozwodziłaś.

– Nie były to rozstania traumatyczne, ponieważ nie było dzieci. Gdybym je miała, to bym się nie rozwodziła; trzeba robić wszystko, by dzieci miały poczucie bezpieczeństwa. Sama miałam wielkie szczęście; moi kochani rodzice przeżyli z sobą 53 lata. Byli bardzo fajni, weseli, co dało mi bardzo dobry start w życie. Oczywiście każde rozstanie jest smutne, ja w ogóle nie znoszę końca czegokolwiek – nawet po wakacjach nie lubię się zegnąć ani z miejscem, ani z nowo poznanymi ludźmi.



Spektakl zagrała setki razy. – Uwielbiam go – mówi aktorka

– Jednak dwukrotnie pożegnałaś się z mężami. Twoje małżeństwo z szermierzem, medalistą olimpijskim z Tokio – Januszem Różyckim przetrwało siedem lat, z dyrygentem Jackiem Kaspszykiem – pięć.

– I to zawsze jest przeżycie. Miałam to wielkie szczęście, że nigdy nie przeżyłam rozwodu jako osoba zostawiona. Mogę sobie wyobrazić, że musi to być bardzo przykre.

– Czyli to Ty zostawiłaś obu panów?

– Nasze drogi się rozeszły. Acz nie mogę z tego słowa o nich powiedzieć. Może to ja się nie nadaję do małżeństwa... Jestem typowym Wodnikiem, a te podobno lubią wolność. I są bardzo humanitarne. Zatem nieraz słyszałam zarzut, że kocham bardziej cały świat niż tego jednego.

– Niektórzy mówią, że nie da się całego życia spędzić u boku jednej osoby.

– Wśród bliskich znajomych mam bodaj dwie pary niezmiernie wierne sobie. I może im nawet zazdrościsz, ale też wydaje mi się, że monogamia jest bardzo trudna. Przede wszystkim trzeba starać się nie krzywdzić innych, choć czasem to robimy i pewnie w młodych latach też kogoś skrzywdziłam. Dziś jest mi z tego powodu bardzo przykro.

– Z eksmężami masz dobre relacje?

– Z pierwszym nie, bo mieszkam w Anglii, a ja w Krakowie, ale niedawno go widziałam i muszę powiedzieć, że się szalenie wzruszyłam. A z Jackiem widuję się, ilekroć w Krakowie

dyryguje. Jestem na koncercie, a później idziemy z jego żoną na kolację. I jest bardzo miło.

– Zasnęłaś w Polsce rolę niezapomnianej kochanki prezesa Ryszarda Ochódzkiego z „Misia”. Dostając ją, ucieszyłaś się, bo kochałaś się wtedy w Januszu Głowackim, a film pozwolił Ci jechać do Polski...

– Nie używaj jego nazwiska, może sobie nie życzy...

– Sądziś, że mężczyzna może sobie nie życzyć, by stało się wiadomym, że kochała się w nim słynna Krystyna z „Misia”?

– Niektórzy wręcz dali mi to do zrozumienia. Przecież ja dostawałam kosza nie raz. Miałam 25 lat, gdy chłopak, a była to poważna miłość, mnie zostawił. Potwornie to przeżyłam. Piłam whisky, pisałam wiersze, zapłakiwałam się... I tak przez parę miesięcy. Aż się znowu zakochałam.

– Bo to bardzo przyjemne.

– Człowiek się czuje, jakby unosił się nad ziemią, a świadomość, że druga osoba odwzajemnia uczucie, wzmacnia naszą samoocenę. I dlatego monogamia jest tak dokuczliwa, bo ten początek jest tak euforyczny, a potem to wszystko zaczyna ewaporować, co nieuchronnie i ludzie nie potrafią sobie z tym poradzić. I obwiniają tę drugą osobę.

– W Tymie się nie zakochałaś?

– Ogromnie go uwodziłam, ale on był twarzą. Fakt, był żonaty.

– Nawet pierś mu pokazałaś w scenie, gdy Ola otwiera drzwi Tymowi jako sobowótowi Ochódzkiego i mówi, że nie jest jeszcze gotowa do wyjścia. A nie było tego w scenariuszu.

– To tak niechętnie, chciałam dowiedzieć, że nie jestem gotowa, a zapomniałam, że nie mam biustonosza.

– Bo jako niegdysiejsza hipiska przejęłaś hasło amerykańskich feministek „Spal stanik!”.

– Nadal go poza sceną nie noszę. Ale też przez lata byłam płaska jak deska. Mama, która miała bujne piersi, dziwiła się: „Krysiu, po kim ty masz taki mały biust?”. Na co ja: „Po tacie”.

– Powiedziałaś, że nie nadajesz się do małżeństwa, a z Januszem Szydłowskim jesteście razem od ślubu, od roku 1998. A już wówczas znaliście się 10 lat.

– Byliśmy dojrzalszymi ludźmi, podejrzewam, że gdybyśmy się poznali jako młodzi, też by się skończyło rozstaniem.

– Para jak z Osieckiej: „Kobieta po przejściach, mężczyzna z przeszłością”...

– Jest moim trzecim mężem, ja jego czwartą żoną.

– Zatem stabilizacja.

– Wiesz, ja nie brałam nigdy ślubu kościelnego, zatem można powiedzieć, że jestem do wzięcia...